

Broadway nad Brdą

AUTOR: PIOTR SOBIERSKI

Nie jest to wbrew pozorom spektakl o upadku Hollywood. *Bulwar Zachodzącego Słońca* to rzecz o przemijaniu. O trudzie pogodzenia się z nastaniem nowego i dostosowania się do zmian.

■ Niegdyś wielka gwiazda, dzisiaj legenda schowana za murem pałacu. „Może największa ze wszystkich” – mówi Joe Gillis o Normie Desmond, aktorce, ikonie filmu niemego. Głównej bohaterce *Bulwaru Zachodzącego Słońca*. W świecie filmu nie ma tymczasem taryfy ulgowej, rządzą nim bowiem bezwzględne prawo rynku oraz widzowie. I gdy trzydzieści milionów z nich zadecyduje, że błyszczyć ma inna gwiazda, nawet najlepszy reżyser nie jest w stanie tego zmienić. W mig upragniona posiadłość zamienia się mauzoleum, a życie zaczyna przypominać kronikę, w której brakuje miejsca na nowy rozdział. Hollywood się zmienia, tak jak zmieniają się oczekiwania widzów. Musical sprzed trzydziestu lat, podobnie jak wybitny film Billy’ego Wildera z 1950 roku, doskonale o tym przypomina.

Dzieło Andrew Lloyda Webbera to w pierwszej kolejności muzyczna uczta. Współczesne kompozycje niezwykle rzadko są w stanie konkurować z dziełami złotej ery musicalu, kiedy w orkiestronie reprezentowany był pełny skład muzyków i szerokie instrumentarium. Webber nie zważając na koszty, zagwarantował bogactwo dźwięków, momentami z operowym wręcz zacięciem. Prowadzona przez Krzysztofa Herdzina orkiestra Opery Nova brzmi idealnie, już w uwerturze pobudzając wszystkie zmysły. Dzisiaj nikt już tak nie pisze musicalu, co w sposób symptomatyczny łączy się z historią głównej bohaterki. Ale choć fabuła *Bulwaru Zachodzącego Słońca* może sugerować inaczej, dzisiejsza publiczność umie jednak docenić sztuk klasycznego spektaklu muzycznego.

Istotne dla spektaklu w reżyserii Jacka Mikołajczyka są techniczne możliwości bydgoskiej sceny, przede wszystkim znakomita akustyka, która sprawia, że widz wszystko słyszy. To tylko z pozoru banalna uwaga. Pol-

ski teatr muzyczny wciąż bowiem cierpi na chorobę zagłuszenia – przeważnie głosów aktorów przez orkiestrę. W *Bulwarze Zachodzącego Słońca* dopracowano tę kwestię do perfekcji. Partie ilustracyjne porażają głębią, a teksty libretta i piosenek trafiają do widza bez żadnych kłopotów.

Musical lubi rozmach i nie brakuje go w tym przypadku. Od pierwszej sceny zachwycają kostiumy Ilony Binarsch – faktura materiałów, dodatki i zdobienia, zaprojektowane ze smakiem i wyczuciem epoki. Podziw budzi reżyseria światła Macieja Igielskiego oraz scenografia Mariusza Napierały: momentami piętrowa, współgra z powszechnym wyobrażeniem o świecie filmu i gwiazd dużego ekranu, ciekawie koresponduje z historią poszczególnych bohaterów. Przede wszystkim Normy, której pierwsze zejście po schodach stanowiących centralny element sceny ujawnia jej kruchość, a jednocześnie wciąż pozwala dostrzec błysk w oku. „Ja do końca walczyć chcę. Nie ugnę się” – śpiewa łamiącym się głosem. „Jestem wielką gwiazdą, to filmy skarłały” – dodaje.

Nie jest to jednak spektakl o upadku Hollywood, czy kultury w szerokim znaczeniu. To rzecz o przemijaniu. O trudzie pogodzenia się z nastaniem nowego i dostosowania się do zmian. Norma dość szybko ujawnia swój stosunek do rzeczywistości. Era kina dźwiękowego budzi w niej odrazę: „Talentu nie potrzeba mu, bo mikrofonu nastał kult. Nam wystarczały tylko twarze”.

Wbrew pozorom Norma nie potrzebuje kolejnego filmu, raczej lekarza, lub choćby szczerzej przyjaźni i bliskości drugiego człowieka. „Nie powrót, a nowy początek” – mówi o dalszym zawodowym życiu. Nikt nie wyprowadza jej z błędu. Nie jest to jednak zła wola towarzyszy, a raczej strach przed moż-

liwą reakcją. W tym szaleństwie utwierdza ją przede wszystkim Max von Mayerling (bardzo solidna kręćca Tomasz Steciuka) – kolejna tragiczna postać. Uwikłany w uczuciową relację, zawsze wierny i oddany swojej bogini, chroni ją do końca. Świadomy, że jej czas przeminął, roztacza nad nią parasol ochronny.

Wyjść z depresji i marazmu ma pomóc młody, bezrobotny scenarzysta Joe Gillis, który niespodziewanie puka do drzwi. Mężczyzna szybko zdaje sobie sprawę, że cudownych planów Normy nie da się zrealizować na jej warunkach. Stawia jasną granicę, nie pozwalając kobiecie na zbytnią bliskość. Nie bez znaczenia jest pojawienie się w jego życiu Betty Schaefer, asystentki ze studia filmowego.

Ciekawa jest konfrontacja życiowych postaw duetów Joego i Betty oraz Normy i Maxa. Odbija się w nich odwieczny konflikt dojrzałości i młodości, a więc też beztróski z dozą zuchwałości i beczelności. Gdy Betty zwraca uwagę Joemu, że jego scenariusze są przeciętne: „Byłam zwyczajnie zawiedziona. [...] myślałam, że ma pan talent”, ten odpowiada, że talent miał w zeszłym roku, „w tym mam apetyt”. Pewność siebie to jednak tylko maska. Piękna kobieta jest dla niego oparciem, zarówno w momentach zawodowego kryzysu, jak i w niekomfortowych sytuacjach z filmową matroną. Znakomicie buduje tę postać Katarzyna Domalewska, dysponująca delikatnym, świadomym wokalem. Joe w kreacji Karola Drozda to z kolei zdecydowanie najlepsza rola aktora już w pełni dojrzałego, ukształtowanego. Jego bohater to niewinny kochanek, zagubiony artysta, ale też cyniczny i momentami bezwzględny mężczyzna. Aktor swobodnie przedstawia zmienne postawy i emocje Joego.

Joe potrzebuje sponsora, ale też inspiracji do pracy – i szuka ich w ramionach Betty oraz



fot. Piotr Manasterski / Opera Nova

Bulwar Zachodzącego Słońca, reż. Jacek Mikołajczyk, Opera Nova w Bydgoszczy [2021]

w studiu filmowym. W branżowej stołowce panuje artystyczny ferment, odbywają się tam wieczne debaty niespełnionych aktorów czy scenarzystów. Wszystkie te epizody to jedno z większych zaskoczeń bydgoskiej produkcji. Operowy na co dzień zespół nawet na moment nie odstaje od artystów musicalowych, prezentując się ciekawie zarówno w małych rolach, jak i w zespołowej kreacji.

W spektaklu nie brakuje elementów humorystycznych, czego najlepszym przykładem jest moment spotkania Normy z astrolożką (Dorota Sobczak) i kosmetyczkami odpowiedzialnymi za odnowę biologiczną. Scena w spa przywodzi na myśl dzisiejszy kult ciała. Mało kto pamięta jednak, że Hollywood od zawsze wymagało gotowości do największych poświęceń.

Normie powrót do formy jest niezbędny, aby pokazać się ponownie na planie filmowym. Wjazd przez słynną bramę Paramount Pictures kosztuje wiele nerwów, ale samo wejście godne jest największej gwiazdy. „Wracam, gdzie mój dom” – śpiewa w otoczeniu dawnych współpracowników i fanów. To jeden z najbardziej wzruszających momentów

spektaklu. W każdej frazie piosenki *As If We Never Said Goodbye* (*Tak jakbym nigdy z tym nie rozstawała się*) wyczuwa się ogromną radość i nadzieję, a jednocześnie skrywany strach, że ta magiczna chwila za moment również przejdzie do historii.

Iluzja, w jakiej przyszło jej żyć, trwa do końca. Ostatnie, spektakularne zejście po schodach własnego pałacu to kolejny przeblask jej dawnej świetności. Kamery, podobnie jak w filmowym pierwowzorze, śledzą każdy krok. „Do końca się nie poddam” – słyszymy na pożegnanie, choć jej świat zamienia się w ruinę.

Lata temu po występie w roli Normy słynnej Glenn Close krytyka zwracała uwagę, że to musical napisany po to, aby aktorka błyszczała na scenie. I trudno się z tym nie zgodzić. Konstrukcja musicalu koncentruje naszą uwagę na tej postaci. Dzięki doskonałemu castingowi w bydgoskiej Operze Nova i w tej produkcji po schodach schodzi elektryzująca gwiazda. Norma Jolanty Litwin-Sarzyńskiej jest zdecydowana i tajemnicza. Wzbudza skrajne emocje swoim komizmem i życiowym rozchwianiem, a jednocześnie zdaje się być niezwykle ludzka. Posługuje się przy tym nieraz przerysowanym

stylem gry, tak charakterystycznym dla kina niemego. Idealnie operuje gestem, spojrzeniem, a nawet rodzajem sztuczności, która współgra ze sceniczną postacią.

Kreacja Litwin-Sarzyńskiej, znakomicie poprowadzona przez Jacka Mikołajczyka, przenosi musical na tory współczesne. Od lat trwa rozmowa o tym, że świat filmu (a może i cała kultura) nie lubi dojrzałych kobiet. O obawach i faktycznym zepchnięciu na margines życia zawodowego mówią same zainteresowane, często ustami swoich bohaterek. Ostatnia dekada zdaje się być jednak łaskawsza. Czy ktoś jeszcze byłby dzisiaj w stanie posyłać na szafot z powodu wieku? Coś się w tej kwestii zmienia, dzięki czemu *Bulwar Zachodzącego Słońca* (oczywiście bez popadania w nadmierny optymizm) można postrzegać jako doskonałą rozrywkę. W Bydgoszczy zrealizowaną z iście broadwayowskim rozmachem. ■

Opera Nova w Bydgoszczy
Bulwar Zachodzącego Słońca
Andrew Lloyda Webbera
reżyseria Jacek Mikołajczyk
premiera 18 września 2021